

MARGINESY

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

Miasteczko

Ciało Adasia znalazł pewnego lipcowego poranka mężczyzna, który tuż po nocnym deszczu wybrał się na grzyby. Zwłoki były niedbale przykryte stertą gałęzi i liści. Ubrany był w to samo, w czym wyszedł poprzedniego dnia do szkoły. Wyraźnie zaspani i znudzeni policjanci, którzy pojawili się na miejscu, uznali, że ciało chłopca zostało przetransportowane, ale wszelkie ślady zatarła burza.

Choć miasteczko, w którym mieszkał Adaś, było niewielkie, a wieść o jego zabójstwie wstrząsnęła wszystkimi mieszkańcami, policja nie przyłożyła się do śledztwa i sprawca miał pozostać nieznanym. Faktem jest, że co jakiś czas pojawiały się sprzeczne hipotezy. Podejrzewano kolejne osoby o to, że mogły skrzywdzić chłopca, ale za każdym razem nowy ślad okazywał się albo zabawą znudzonej młodzieży, albo projekcją lęków starszych ludzi. Prawda była jednak zupełnie inna.

Adaś wychował się w rodzinie podobnej do wielu w miasteczku. Po upadku pobliskiego PGR-u większość rodzin utrzymywała się z nielegalnych prac i chałturnictwa. Nieliczni mieli swoje małe poletki i hodowali zwierzęta, jednak rodzina Adasia do nich nie należała, choć żyli bardzo skromnie, Adasiowi i jego bratu niczego nie brakowało. Nie było tu również przemocy, do której nagminnie dochodziło w innych domach. Dlatego też hipoteza, że Adaś został na śmierć pobity przez własnego ojca, została szybko odrzucona.

Choć policja nie interesowała się tą sprawą dostatecznie i po jakimś czasie ucichły także plotki i domysły, temat odżył na nowo, gdy do miasteczka przyjechał Waldemar. Waldemar miał całą masę problemów – liczne długi, nałogi i wredną, już prawie byłą żonę. Chciał trochę odpocząć i uciec od swoich zmartwień, a ponieważ nie było go stać na wakacje na Rodos ani nawet nad polskim morzem, postanowił wynająć za grosze pokój i posiedzieć wśród ludzi, dla których problemy były także chlebem powszednim.

Waldemar, który uczestniczył w całodziennych posiedzeniach w okolicach sklepu, w trakcie których dyskutowano o niczym, od razu zainteresował się sprawą Adasia. Postanowił, że nie opuści miasteczka, dopóki nie rozwiąże zagadki. Mieszkańcy byli przekonani, że szybko się zniechęci, jednak choć zupełnie nie wyglądał na człowieka, który mógłby cokolwiek doprowadzić do końca, podszedł do sprawy z wielką powagą.

Waldemar, podobnie jak policja, wziął najpierw pod lupę rodzinę chłopca. I – także podobnie jak policji – wydała mu się ona wręcz idealna na tle pobliskiej patologii. W dalszej kolejności Waldemar przyjrzał się otoczeniu chłopca, postanowił poznać jego kolegów i szkołę. Być może, gdyby był młodszy, łatwiej byłoby mu nawiązać jakieś normalne kontakty. Od początku traktowano go jednak jak intruza, który z butami ładuje się w nieswoje sprawy.

Przez następne dni Waldemar zauważał kolejne poziomy zgnilizny miasteczka. Odkrył, że kilka kobiet, stawianych za przykład żon i matek, prostytuuje się w pobliskim dużym mieście, by przy cichym przyzwoleniu bezrobotnych mężów utrzymać rodziny. Z kolei mężowie, których żony starają się wytargać resztki przyzwoitego życia kosztem własnej godności, bez większych oporów mieszają je w męskich rozmowach z błotem, nie mając także wielkich problemów ze swoimi własnymi zdradami. Zanim lokalna gazeta wywlekała na światło dzienne seksualne zabawy gimnazjalistów, przypominające dzikie orgie, Waldemar wiedział już nie tylko o tym, ale także o zielarce, która mniej lub bardziej naturalnymi metodami pomagała kilkunastolatkom pozbyć się niechcianych ciąż. Właściwie można by jeszcze wymienić niewielki, ale skuteczny gang zamieszany w kradzieże samochodów zachodnich marek oraz liczne pomniejsze rozboje czy przemyty, ale w niczym z tego Waldemar nie mógł doszukać się przyczyn śmierci Adasia.

Sytuacja uległa pewnej zmianie, gdy po kilku tygodniach Waldemar stał się dla mieszkańców miasteczka bardziej „swój”. Wtedy zauważył, że choć odkrył tu tak wiele brudu i niegodziwości, nie wie o jednej z najbardziej bolesnych tajemnic poliszynela. Gdy wybrał się do biblioteki i zaczął przeglądać archiwum ogólnokrajowych dzienników, był już prawie pewny, że rozwiązał zagadkę.

Kolejne dni utwierdziły go tylko w przekonaniu, że najgorsze rzeczy nie dzieją się w okolicach sklepu z tanim winem, lokalnej knajpie czy opuszczonych garaży, a w jednym z miejsc, które powinno być najczystsze. Waldemar długo i małymi krokami odkrywał kolejne okropieństwa, których dopuszczał się dyrektor tutejszej szkoły. Zebrane materiały pozwoliły mu na przypuszczenie, że jest on zamieszany w śmierć Adasia. I choć Waldemar mieszkał już w miasteczku grubo ponad miesiąc, kiedy poruszył ten temat, spadła nań lawina przesładowań. To także utwierdziło go w przekonaniu, że idzie dobrym tropem. Gdy wrócił z ostatniego spaceru po zagajniku, gdzie znaleziono ciało Adasia, i gdy kolejny raz przeczytał ostatnie zapiski w notatniku chłopca, miał już pewność.

Tego wieczoru będąc jednocześnie zadowolonym i przerażonym swoim odkryciem, wypił trochę za dużo. Obudziło go głośne pukanie do drzwi. Za drzwiami stała osoba, co do której Waldemar był przekonany, że ją tego dnia zobaczy. Podobno morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni – możliwe, że dzieje się tak nawet wtedy, gdy morderstwo było niezamierzone. Bądź co bądź, tego przedpołudnia Waldemar ujrzał Tomka, chudzielnika, starszego o rok brata Adasia.

W ciągu ostatnich tygodni Waldemar dowiedział się, jak niewesołe było życie chłopca, którego rodzina za wszelką cenę chciała uchodzić za normalną w miasteczku, w którym wszystko było nie tak. Adaś nie tylko od zawsze był dla wszystkich popychadłem, ale także stał się maskotką dyrektora szkoły. Brat Adasia postanowił, że nauczy go bronić się przed światem. I choć bardzo chciał mu pomóc, mimowolnie sam stał się oprawcą.

Planowane lanie

Podeksycytowali się sympatycy polskiego futbolu na początku nowego sezonu. W końcu nasza reprezentacja wygrała z Gruzunami, co niektórzy uznali za niezwykle ważne wydarzenie. Ciekawe jakby zareagowali na zwycięstwo Polaków nad reprezentacją Burkina Faso, która wyprzedza nas w rankingu Międzynarodowej Federacji Piłki Nożnej (FIFA). Z kolei nasze drużyny klubowe, które wzięły udział w kwalifikacjach do europejskich pucharów, nie pozeгнаły się z rozgrywkami po pierwszej konfrontacji (wyjątkiem jest Jagiellonia Białystok, którą wyeliminował kazachski zespół znad Irtyżu). Kiedy więc Wisła Kraków i Śląsk Wrocław przekroczyły kolejną przeszkodę, wielu kibiców, wpadło w zachwyt. Zaczęli oczekiwać kolejnych zwycięstw swoich ulubieńców.

Kibice z Krakowa i Wrocławia widzieli już swoje drużyny w fazie grupowej Ligi Mistrzów i Ligi Europejskiej. No bo co to za rywal dla Wisły – zespół z Cypru. „Pokonamy ich bez żadnych problemów” – uznali kibice spod Wawelu. We Wrocławiu było podobnie. W końcu taki Rapid Bukareszt to dopiero czwarta drużyna rumuńskiej ligi, a Śląsk jest wicemistrzem Polski. Tylko kibice z Warszawy nie mieli zbyt radosnych min – Legia trafiła bowiem na doświadczonego zespół Spartaka Moskwa. Jak się okazało, obawy były uzasadnione. Spartak wywodził z Warszawy cenny remis. Na pocieszenie wypada powiedzieć, że drużyna Legii zaprezentowała się w tym spotkaniu całkiem przyzwoicie.

W rewanżowym meczu w Moskwie legioniści zagraли jednak wyjątkowo ambitnie. Kiedy przegrywali 0:2, wydawało się, że jest już po meczu. Pewni siebie gracze Spartaka nie docenili wszak zawodników Legii, którzy najpierw doprowadzili do remisu, a następnie – na pół minuty przed ostatnim gwizdkiem – zdobyli zwycięskiego gola. Warto dodać, że tę decydującą bramkę strzelił, nomen omen, Janusz Gol. Ta sensacyjna wygrana dała Legii awans do fazy grupowej Ligi Europejskiej.

Po pierwszym meczu we Wrocławiu zrzędył miny kibiców Śląska – bukareszteński Rapid nie dał mu żadnych szans, wygrywając pewnie 3:1. Nie pomogły zaklęcia trenera Oresta Lenczyka ani jego tajna broń, którą wymyślił podobno przed spotkaniem. W trakcie meczu okazało się, że „tajną bronią” wrocławian są w rzeczywistości bezradność i bezymyślność. Taki rezultat w pierwszym, wyjazdowym pojedynku przesądza sprawę awansu. By awansować, Śląsk musiałby wygrać w Bukareszcie 3:0, a byłby to po prostu cud.

Teraz słów kilka o meczu Wisły z Apoelem Nikozja. W pierwszym spotkaniu, które rozegrano w Krakowie, szybko się okazało, że drużyna cypryjska nie składa się z kelnerów. Cypryjczycy umiejętnie się bronili i od czasu do czasu próbowali atakować. Wisła ostatecznie wygrała 1:0 po szczęśliwym strzale Małeckiego. Ta konfrontacja pokazała, że zespół z Cypru prezentuje się znacznie korzystniej niż Wisła, że ma w swoich szeregach lepiej wyszkolonych zawodników. Można było zakładać, że w meczu rewanżowym Wisła nie obroni przewagi jednej bramki. Innego zdania było jednak kierownictwo krakowskiego klubu. Uznano tam, że zaliczka z pierwszego meczu z pewnością wystarczy, by awansować do Ligi Mistrzów. Ponadto trener postanowił dać odpocząć zawodnikom z podstawowego składu i na ligowy mecz z Koroną Kielce wystawił drużynę rezerwową. Decyzja była może i słuszna, ale nie przyniosła pozytywnego efektu – Wisła przegrała rewanż z Apoelem (1:3) i nie wywalczyła awansu do fazy grupowej Ligi Mistrzów. Była to, niestety, w pełni zasłużona porażka. Zawodnicy Apoelu atakowali zdecydowanie,

a obrona Wisły niemal bez przerwy popełniała błędy. Ataki wiślaków były słamazarne, a co za tym idzie – mało skuteczne. Był moment, że Wisła mogła wrócić z Nikozji z tarczą. Sprytnym kopnięciem Wilk doprowadził w 71 minucie do wyniku 1:2, a taki rezultat dawał awans krakowskiej drużynie. Niestety, w końcowych partiach meczu wiślacy nie potrafili się rozsądnie bronić i rozgrywać piłkę. Słabo zaprezentowali się zawodnicy, którzy mieli przesądzić o sukcesie Wisły – Melikson wyróżnił się tym, że otrzymał żółtą kartkę, a obrońcy Diaz i Chavez ogrywni byli bezlitośnie przez zawodników Apoelu. Dosyć. Skończyły się marzenia o fazie grupowej Ligi Mistrzów. Na pocieszenie pozostaje nam udział Wisły w Lidze Europejskiej. Zobaczymy, kogo wiślakom przydzieli los. Jednak z taką dyspozycją i podejściem do gry, jakie zaprezentowali w konfrontacji z Cypryjczykami, nie wróżę im sukcesów. Podsumowując – nasze zespoły dostały lanie. Dodam, że było to planowane lanie. I nie należy się dziwić, jeśli podobnie będzie w kolejnych spotkaniach. Słowa te odnoszą się także do reprezentacji.

Wczytałem się w składy obu zespołów. Zarówno w drużynie Wisły, jak i Apoelu niewiele występuje rodzimych zawodników. Należy jednak przyznać, że szefowie Apoelu potrafili ściągnąć do siebie znacznie lepszych piłkarzy niż właściciele Wisły. Z tymi zawodnikami Wisła niewiele zdziałała na europejskich stadionach. W kraju może wygrywać, ale po przekroczeniu jego granic ma na to marne szanse.

Jeszcze jedna refleksja nasuwa się po występach naszych trzech drużyn w walce o grę w europejskich pucharach. Drużyny, które zdobywają tytuły mistrza czy wicemistrza kraju, powinny być dostarczycielami zawodników do reprezentacji. Tak w każdym razie było w przeszłości. Tak jest też i dziś w krajach, które liczą się w europejskiej rywalizacji. Tymczasem z drużyn mistrza czy wicemistrza Polski trudno kogokolwiek powołać do reprezentacji. Szefowie naszych klubów uznali bowiem, że nie oplaca się szkolić własnych zawodników, bo łatwiej i szybciej jest ściągnąć obcokrajowców. No i ściągają. Problem w tym, że sprowadzają zawodników słabych, którzy są chętni do gry w Polsce, ponieważ mogą tu zarobić ciut więcej niż w Bułgarii czy na Białorusi. Grając w naszych klubach, automatycznie jednak blokują miejsca młodym zawodnikom z kraju. Takie postępowanie wpływa niekorzystnie na polski futbol. Po prostu go niszczy.

Trudno się zatem dziwić, że Franciszek Smuda wyczynia najróżniejsze rzeczy, by skompletować jakąś ekipę na EURO 2012. Miejscem jego poszukiwań nie jest polska ekstraklasa, ale ligi zagraniczne. Bez przerwy rozgląda się za zawodnikami, którzy mają cokolwiek wspólnego z Polską. Jeżeli tak dalej pójdzie, to w wyjściowej jedenastce na EURO 2012 znajdzie się co najwyżej trzech zawodników znad Wisły i Odry, pozostali będą naturalizowanymi Polakami. Czy z taką ekipą można coś zdziałać na mistrzostwach Europy? Nie sądzę. Wszystkich tych zawodników bardziej interesuje gra w klubach niż wylewanie potów w reprezentacji. Oby tylko nie doszło do kompromitacji, bo takie zespoły jak Gruzja czy San Marino nie wystąpią w tym turnieju. Trener nie boi się jednak ataków niezadowolonych kibiców, ma jedno usprawiedliwienie, którego będzie się trzymał. Powie zatem: „A kogo miałem powołać do reprezentacji? Naszych ligowych zawodników? Nie rozśmieszajcie mnie”.

No i mamy kompletny obraz polskiego futbolu, dzięki któremu tak dobrze się żyje m.in. panom Lacie i Kręcinnie.

HENRYK MARZEC